



ZABYTKI POLSKIE.



fot. H. Witeza.

CHATA W OSADZIE GLINIANCE, POW. MIŃSKI (MAZOWSZE).



Aleksander Majkowski.

Szkice z życia Kaszubów w pow. kartuskim.⁵⁾

O mogiłach znów ludzie twierdzą, że czasami widać na nich płonący ogień, co jest oznaką, że się tam pod ziemią pieniądze palą, albo, jak Kaszubi się wyrażają: pieniądze się przesuszają. Kto się umiejętnie do tego zabierze, może dostać się do owych skarbów: trzeba tylko kopać tak długo, aż się natrafi na wieko drewnianej skrzyni. Jeżeli się wtenczas rzuci na skrzynię krzyż, zrobiony z wijołkowego rzewa (z którego w palmową niedzielę robią tak zwane palmy), skrzynię można będzie za pomocą drągów wydobyć. Głównym atoli warunkiem jest i tu, żeby podczas całej pracy ani słowa nie wyrzec. Otóż do takiej mogiły, jak powiadają, u stóp Łysej Góry, zwanej także Łyską, pod Gostomiem, zebrało się czterech sąsiadów. Już dotarli byli do skrzyni, kiedy widzą że drogą jadą dwaj panowie w cztery świetne konie. Ci do nich wołają: A jak dalek to do nobliższy wse? — Nasi kopacze skarbów pomni, że jedno słowo może ich pracę w niwecz obrócić, milczą, a ci jadą dalej. Za chwilę tąż samą drogą za pierwszymi zjawia się chłop, jadący wierzchem na kulawej świni, i woła:

— A dogonię jo tych, co tu przejechale w cztere konie?

Na to jeden z kopaczy nie mógł wytrzymać, ale zaczął się śmiać:

— Jakżesz z tych panów, co w sztere konie jadą, chcesz dogonic na kulawy świni?

Na te słowa z hukiem skrzynia wraz z skarbami zapadła się w ziemię, i pozostał tylko dół.

Jest stara droga, którą kompania pielgrzymów od Kościerzyny co rok w maju dąży do Kalwaryi wejherowskich, zabierając po drodze uczestników z powiatu kartuskiego. Droga ta, wkraczając do powiatu kartuskiego w Skorzewie, idzie na Stężyce, stąd po zachodnim brzegu jezior raduńskich na Borucino, wygodę, Borzestowo, Miechucino, Mirachowo, Strzecz. Otóż przy Borzestowie nad jeziorem Długiem wznoszą się potężne wzgórza, w których pod opieką św. Józefa i św. Barbary, patronki Pomorza, śpią wojska, czekając na chwilę, gdy im trzeba będzie wyjść na światło dzienne na wielką wojnę za Ojczyznę i wiarę. Chwila ta na-

stąpi, kiedy plug, orzący te góry, zawadzi o ukryty w ziemi dzwon, którego głos dla nich będzie sygnałem.

Powiadają także, że pewnemu gburowi, wiozącemu tędy zboże na targ, zastąpił drogę staruszek (św. Józef), który mu zboże odkupił i kazał je zanieść przez nieznany otwór w górze wgłąb, gdzie w wielkich pieczarach ujrzał gbur zbrojnych rycerzy i konie, wszystko śpiące i czekające sygnału.

*

Lud kaszubski ziemi nadraduńskiej przechował jeszcze dużo dawnych obyczajów, łączących się z ważniejszymi chwilami życia ludzkiego. Skoro dziecko się narodzi, zawieszona mu się na szyję szkaplerz, który zostaje mu aż do chrztu. Wierzą bowiem, że w przeciwnym razie podziemne karzelki (krośnięta) zamienią dziecko, wkładając w kołyskę — swoje. Przy kojarzeniu stadel małżeńskich jest zwyczaj, że starszy przyjaciel jednego z dwojga młodych, tak zw. „dobry mąż“ przekłada najprzód sprawę rodzicom dziewczyny. Jeżeli nastąpi zgoda, wtenczas panna młoda z rodzicami jedzie do rodziców przyszłego męża na „wyględy“. Skoro gospodarstwo się im spodoba, oznacza się szlubiny, t. j. zaręczyny, które powinny się odbyć w czwartek. Wtedy kawaler zjawia się u swojej przyszłej, przynosząc jej dary, za co wzajemnie otrzymuje od niej dary. Na stole są dwa talerze, na jednym spoczywa podarunek kawalera, na drugim panny, kawaler też przynosi pierścienie. Wszyscy siadają za stołem w towarzystwie „dobrego męża“, który wypowiada mowę, poczynając od pierwszego stadła, Adama i Ewy, a kończąc na dwojgu młodych, którzy następnie wymieniają pierścionki. Matka zaś panny bierze kropidło i kropi ich święconą wodą, poczem śpiewają pieśń: „Kto się w opiekę...“ Na tem się kończy urzędowa część „szlubin“ i następuje uczta w miarę zamożności. Wesela, zwane na kaszubach „biesadami“, odbywają się głównie przed wielkim postem. Weselników zaprasza družba, przystrojony kwiatami, który i podczas uroczystości weselnych odgrywa rolę maître de plaisir. Po-



winien być wszędzie, gości „przeróczać“, t. j. zachęcać do jedzenia i picia, i bawić. Od ślubu idą zazwyczaj do przystrojonej karczmy, gdzie czeka muzyka. Po kilku godzinach siadają na wozy — jeden wóz, i to pierwszy, wiezie muzykę — i wśród grania, strzelania z batów i pistoletów jadą ochoczo do domu rodziców panny młodej, gdzie się bawią do rana, i nawet do południa.

Tu jeszcze można przypatrzeć się starodawnym tańcom kaszubskim, wirowym i figurowym. Szczególnie lubiane są: „owczarz“, „szewc“ i „gołębnik“. Prócz tego odgrywają komedye, nie pisane bynajmniej ani drukowane, ale tak sprawnie oddane, jak gdyby uczestnicy przynajmniej przez szereg wieczorów się ćwiczyli i odbywali próbę jeneralną. Oto np. do sołtysa, siedzącego spokojnie przy stole biesiadnym, przybiega zadyszany sąsiad z oznakami największej rozpacz, biadając, że mu w drodze ludzie gwałtem odebrali krowę. Sołtys, jako stróż bezpieczeństwa, wstaje i poważnie się zapytuje, gdzie i kto dopuścił się takiej zbrodni. Na to go poszkodowany wyprowadza niedaleko za chatę i oświadcza, że złodzieje się zlekli i uciekli, krowę zaś pchnęli do głębokiego dołu. I rzeczywiście wbiega do dołu kartofli, skąd z oznakami wielkiej radości wyciąga swoją krowę, w której podbiegli biesiadnicy tymczasem rozpoznają okazały co do rozmiarów — sądek piwa. Właściciel atoli tej „krowy“, jak i sołtys, nie okazują najmniejszej wątpliwości, że to krowa rzeczywista. Tymczasem sołtys proponuje, aby jej dalej nie prowadzić na jarmark, bo po tym pchnięciu w dół nie dojdzie zapewne daleko — ale żeby ją sprzedać na miejscu. Właściciel zgadza się i wiodą krowę do kuchni, skąd wprowadzają ją do izby weselnej, przywiązaną do ławki z czterema nogami. Tam następuje handel, w którym obecni zapamiętałe biorą udział, targując się jakby o życie chodźło. Jeden klepie „krówkę“ po żebrach, drugi wydusi trochę mleka (kurek bowiem wsadzono już w kuchni), aż nareszcie dobija targu pan młody. Próbuje tedy wszyscy jej „mleka“.

Ważnym aktem jest też „brutci tuńc“, przy którym każdy, kogo młoda pani bierze do tańca, kładzie talar na stole. Nareszcie następują „oczepiny“, przy których śpiewają piękną pieśń, rozpoczynając się od słów:

Ach, mój wionku lawańdowy,
Nie spadajże z mojej głowy,
Bo jak mie już z głowy spadniesz,
To już więcej nie usadniesz! —

Tak się bawią aż do południa przyszłego dnia, jedząc i pijąc obficie. Po południu następują „przenosynę“, i młoda pani żegna się rzewnie z rodzeństwem. Śliczne wprost są pieśni, śpiewane przy tem żegnaniu. Po pożegnaniu udają się znowu z muzyką biesiadnicy do chaty pana młodego, gdzie wesola zabawa trwa przez dzień i noc.

Z innych zwyczajów dziwne jeszcze robi wrażenie na nowoczesnego człowieka sposób zwoływania członków gmin wiejskich na naradę, czyli „na gromadę“. W tym celu sołtys rzuca sąsiadowi do sieni klukę, kawał grubego na dwa palce drewna, które, gdyby było proste, miałyby więcej niż łokieć. Kluka atoli jest tak dziwacznie pokręcona, że rzucona na podłogę, długą chwilę obraca się, uderzając, nim się ułoży spokojnie. Przy rzuceniu kluki wykrzykuje ten, kto ją rzucił, w jakim celu mają się zebrać na sołtysostwo. Ten, komu rzucono klukę, bierze ją i rzuca sąsiadowi, powtarzając, co słyszał. I tak obchodzi ten rodzaj wici wszystkie chaty, aż wróci z powrotem do sołtysa. Narzędzie to nazywa się u Kaszubów północnych — k o z ł e m. W ostatnich czasach w wielu wsiach, tam mianowicie, gdzie utrzymują służbę gminnego, ustało używanie kluki. W niektórych — zmodyfikowano jej używanie w ten sposób, że sąsiad sąsiadowi znosi klukę, w której końcu rozszczepionym tkwi urzędowy papier z wezwaniem na posiedzenie. W innych wioskach przywiązuje się do kluki powróż, robiąc w nim od jednego do trzech węzłów. Jeden węzeł oznacza, że mają się zebrać tylko gburzy, dwa węzły zwołują gburów i chałupników (posiadających często chatę i trochę roli), trzy węzły zwołują gburów, chałupników i robotników.

Jako uroczystość, sięgającą zamierzchłych czasów, uważać należy jeszcze palenie przez Kaszubów w wilię św. Jana po wzgórzach sobótek. Szczególnie bogate w wyżyny ziemie nadraduńskie piękny wówczas przedstawiają widok, czyniący na widza potężne wrażenie. Tak też się o nich wyraża ks. Damroth (Czesław Lubiński) w swoich „Szkicach z ziemi i historii Prus królewskich“. Pisze on: „Szczególnie pięknego obrazu staliśmy się widzami w wilię św. Jana Chrzciciela, wracając z wycieczki do pewnej gościnnej przystani. Porę letniego zrównania dnia z nocą obchodzą, jak w wielu stronach Słowiańszczyzny, także na Kaszubach zapalaniem po szczytach gór Sobótek... Wystaw sobie tedy nasze wesole towarzystwo, płynące wolno po ciemnych fałach ogromnego jeziora, nad nami precudne



[Do art. „Z KRAKOWA DO BUDAPESZTU“.



KOŚCIOŁEK W DRAWCE.

sklepienie niebieskie, błyszczące tysiącami gwiazd brylantowych, wokoło zaś zbliżka i zdaleka jarzące się w płomieniach sobótek rozczochrane czoła pagórków i dolatujące chwilami tęskne piosenki lub wesole wykrzykniki przejętej uroczystością młodzieży, a nakoniec pocziwe staropolskie dudy i krzykliwą piszczałkę, które nie wiem, skąd się tu wzięły o tej porze, — pojdziesz łatwo, że wesole i gwarne towarzystwo uciszyło się zwolna, zajęte ślicznym widokiem, a każdy zajęty własnymi myślami i uczuciem. — Poza tem w czasie pomiędzy Bożem Narodzeniem i Zapustami można być świadkiem różnych charakterystycznych zabaw ludowych. Pośród Bożem Narodzeniem i świętem Trzech Króli chodzi kozieł i bodzie, albo młodzieńcy przebierają się za niedźwiedzia, konia, kozła, bociana i taką gromadą odwiedzają chaty. Po Trzech Królach mali chłopcy przebierają się jako królowie z koronami i obchodzą chaty, przytem jeden z nich osmołony sadzami, jako murzyn. Przed Bożem Narodzeniem w czasie adwentu i kilka tygodni po niem chodzą z szopką. Często są to dorośli parobcy, którzy cały powiat kolejno zwiedzają, śpiewając swojskie kolendy, a czasem i „frantówki“. Chodzą po dwóch albo trzech, z których jeden niesie szopkę, a dwaj pozostali — dary, otrzymane od gburów, składające się z wiktuałów i pie-

niędzy. Dyngus zaś na święta Wielkanocne na Kaszubach nie jest połączony z oblewaniem wodą — woda tylko przy okrężnem znaczną odgrywa rolę — jedynie chodzą dzieci z zielonemi różgami, w drugie święto chłopcy, w trzecie dziewczęta, i to od chałupy do chałupy, zbierając jaja i kawałki babki, rzadziej — drobne monety.

Wspomnieć jeszcze trzeba o kilku zwyczajach przy śmierci. Śmierć niema dla Kaszub tajemniczej grozy i obawy przed nieznaną przyszłością, gdyż światopogląd jego daje mu niedwuznaczną odpowiedź na wszystkie pytania. Poza nauką katechizmową atoli wierzą oni, że czasem nieboszczyk nie zostaje w grobie spokojny, ale jako „wieszcz“ wysysa wszystkim krewnym krew, tak że jeden członek rodziny za drugim umiera. Aby temu za-

podobnie, sypią garść ziemi nieboszczykowi za kołnierz. Skoro mimo to krewni umierają, nie pozostaje jak odkopać grub i, uciawszy nieboszczykowi głowę, położyć mu ją w nogach. Gorszym jeszcze od „wieszcza“ jest „łópi“. Taki nocą wstaje z grobu, idzie do dzwonnicy i dzwoni. Jak daleko głos dzwonów dosięga — mrą ludzie gromadami.

W ostatnią noc przed pogrzebem zbierają się w chacie nieboszczyka sąsiedzi i przyjaciele na „pustą noc“. Siedząc przez całą noc, śpiewają pieśni kościelne, posilając się chlebem i kawą. Jeżeli nieboszczyk miał przed śmiercią nieprzyjaciela, z którym się nie zdołał pogodzić, przybycie jego na „pustą noc“ zastępuje przebaczenie. Na folwarkach lud także idzie na „pustą noc“ do swego pana. Skoro zaś u gbur albo na folwarku chłop umrze, pan jest obowiązany odprowadzić trumnę do granic swej posiadłości, gdzie zazwyczaj stoi Boża męka.

Kiedy gbur w młodym wieku zachoruje na jaką chroniczną chorobę, z której niema wyjścia, to z całym spokojem żegna się z życiem, przedtem dając żonie radę, jak się ma po jego śmierci urządzić. Omawiają tedy, czy w interesie dzieci i gospodarstwa leży, żeby białka wyszła powtórnie za mąż, czy nie. Zdarza się, że przyszły nieboszczyk radzi nawet jej kogoś za męża. Jeżeli zaś gbur z żoną dożyją sędzi-



wych lat i mają dorosłe dzieci, dzielą między nich gospodarstwo lub zdają je jednemu, które resztę roduństwa splaca, sami zaś osiadają „na chlebie“ czyli „na deputacie“. Lubią sobie starzy wymawiać tak obfity „chleb“, mając z góry zamiar nie pobierania go w całej pełni, że stąd wypływają często niesnaski i kosztowne procesy, zwłaszcza w takim wypadku, gdy jedno z rodziców umrze, a drugie wyjdzie za mąż lub się ożeni. Wogóle jest to czarna plama na charakterze Kaszubów, zwłaszcza żyjących w ziemi nadraduńskiej, że o byle co wszczynają procesy i procesują się zapamiętali, bogacząc sąd i adwokatów.

Podnieśliśmy w charakterze Kaszubów nadraduńskich kilka ciemnych stron, trzeba atoli podnieść i dodatnie. Oprócz głębokiej religijności i miłości ziemi, wyszczególnić należy szczerą gościnność słowiańską tego ludu. Na przybysza z innych stron Polski robi on wrażenie człowieka zamkniętego w sobie, podejrzliwego. Falszywy atoli nie jest nigdy. W interesach jest rzetelny, przytem skromny, zapo-

biegliwy i pracowity. Znany jest jego upór, który dobrze kierowany jest rysem pod względem społecznym bardzo dodatnim. Pewna różnica istnieje pomiędzy ludnością wsi gburskich i ludnością nielicznych folwarków, uwłaszczoną na początku zeszłego wieku. Tu i gospodarstwo gorsze i charakter mniej rzetelny, co jest skutkiem długowiekowej niewoli pańszczyźnianej.

Rodakom, z dalszych stron Polski przybywającym, radzić można, ażeby nieznającego niewoli gburu kaszubskiego traktowali z szacunkiem i szczerością, jako rodaka. Chłopu oczywiście się nie mówi „pan“, bo to go zrobi niepewnym siebie, ale się odzywa do niego przez „wy“. Natomiast gbur, szczególnie szlachcic lub średni właściciel, odezwanie się doń przez „pan“ uważać będzie za rzecz naturalną.

Jeżeli przybysze z dalszych stron szczerze i jako bracia-rodacy zawitają do chaty kaszubskiej, pewni być mogą, że tam znajdą gościnę i otwarte serca, że się czuć będą jako u swoich—w swojej Ojczyźnie.



Aleksander Łętowski.

Dycezya Mińska.

Utrzymuje się u nas błędne mniemanie, jakoby rewolucya listopadowa, potem zaś powstanie styczniowe—wywołały cały szereg represyi ze strony rządu w stosunku do kościoła katolickiego, przedtem nigdy jakoby nie stosowanych, wobec bezwzględnej „tolerancyi“. Że takie brednie mogą wygłaszać świadomie niektóre jednostki, mniej lub więcej ugodowo, czyli jak się dziś mówi — „realnie“ usposobione, temu się dziwić nie można. Ale, że te przesady szerzą ludzie, z ugodą nie mający nic a nic wspólnego, powtarzając je bezwiednie, to już świadczy wprawdzie nie o ich złej wierze, lecz o wielkiem za to nieuctwie w zakresie nawet dziejów najbliższego skrawka Rzeczypospolitej.

Jeśli chodzi o liczbę zniesionych klasztorów i zamkniętych kościołów, to istotnie—pierwszych uległo kasacie najwięcej w r. 1832, drugich zaś po r. 1863. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę samą zasadę tolerancyi i przyjrzymy się uważniej sposobom jej przestrzegania, to się przekonamy, że kasata klasztorów i wielu kościołów w Królestwie i Cesarstwie nastąpiła znacznie wcześniej, mianowicie: na Litwie i Rusi na zaraniu w. XIX, w Królestwie Polskiem zaś w drugim i trzecim dziesięcioleciach stulecia zeszłego. We wszystkich prawie miastach na Litwie olbrzymia większość cerkwi miejscowych—to dawne kościoły, zaanektowane nie po powstaniu styczniowem, lecz znacznie wcześniej.



Sobór np. wileński przy ul. Wielkiej, już w r. 1847 przerobiono z kościoła św. Kazimierza królewicza, wkrótce po jego zabraniu.

Swoją drogą najwięcej klasztorów zniesiono na Litwie i Rusi, wkrótce po wojnie polsko-rosyjskiej r. 1851, mianowicie w r. 1852 i w latach następnych. Na czele stolicy biskupiej w Wilnie stał wówczas, po długoletnich rządach (1815 — 1826) pana Sistrzeńcewicza, ks. Jędrzej Kłagiewicz, nominat sufragan wileński, na czele zaś dyecezyi Mińskiej ks. Mateusz Lipski, drugi z kolei biskup miński, bezpośredni następca „ostatniego konfederaty“ polskiego, ks. Dederki. Obu tym pasterzom, t. j. Kłagiewiczowi i Lipskiemu, było sądzone świadkami niemymi być nietylko znoszenia klasztorów i zamykania wielu kościołów, lecz i kasaty Unii, czego na Litwie i Rusi dokonano, jak wiadomo, pod kierownictwem rozgłośnego Siemaszki, metropolity unickiego, w r. 1839, czyli blisko o 30 lat wcześniej, niż w Królestwie Polskiem.

Ks. biskup Lipski nie przeżył ciosu i w najgorętszym czasie przyłączania unitów do cerkwi prawosławnej zmarł na aneurizm serca. Pochowano go na cmentarzu Kalwaryjskim pod Mińskiem, gdy biskup Dederko pogrzebany został w katedrze mińskiej.

W tych czasach zaszły w obrębie gub. mińskiej znaczne zmiany i pod względem administracyjnym. Mianowicie, wcielono do niej pow. nowogródzki, łącząc z pow. nieswieskim, gdy przedtem i za czasów Mickiewicza nowogródzkie należało, jak wiadomo, do ziemi grodzieńskiej. W tym samym roku wyłączono z obrębu gub. mińskiej powiaty: wilejski i dziśnieński, które znowuż zaliczono do gub. wileńskiej, obejmującej z małemi zmianami prawie całe dwa województwa z czasów Rzeczypospolitej: Wileńskie i Trockie.

Skutkiem powyższych zmian administracyjnych ubyły dyecezyi mińskiej trzy dekanaty z 16-ma parafiami, włączono jednak do niej dwa inne: nowogródzki i stołowski, tak, że *de facto* obszar dyecezyi zmniejszył się wtedy tylko o jeden dekanat i 5 parafii.

Działo się to już za czasów biskupa Rawy, trzeciego z kolei w Mińsku Lit., głośnego w pierwszej połowie w. XIX z tego faktu osobliwego, iż, nie zaaprobowany zgoła przez papieża, był mianowany wyłącznie przez rząd, skutkiem jego samowolnej, wbrew prawu kanonicznemu, decyzji.

W r. 1850 dyecezya mińska liczyła 200,000 głów wiernych, osób zaś stanu ducho-

wnego 150; obejmowała 12 dekanatów: miński miejski, miński powiatowy, bobrujski, borysowski, ihumeński, mozyrski, nadniemeński, nowogródzki, piński, rzeczycki, słucki i stołowski.

Z tych dekanatów nie istnieją obecnie: nadniemeński i stołowski, mińskie zaś — powiatowy i miejski złączono w jeden wspólny.

Pow. ihumeński, wraz z miastem Ihumieniem, utożsamianym stale przez niektóre organy prasy warszawskiej z Humanem, miastem powiatowym na Ukrainie, stanowił ongi dobra kościelne i należał do kapituły katedralnej wileńskiej, nadany jej hojną dłonią króla Władysława Jagiełły, który, fundując katedrę wileńską, czyli kościół zamkowy, bogato ją uposażył, nadając także: Ponary, Malaty, Bakszty, tudzież słynne później Werki pod Wilnem, obrócone na letnią rezydencję biskupią.

Kościółów i kaplic liczono wtedy w dyecezyi około 150, liczba zaś klasztorów spada już z 60 na 12. Posiadał przytem Mińsk litewski własne seminaryum duchowne, którego rektor, ks. Adam Wojtkiewicz, był później biskupem mińskim, z kolei czwartym i zarazem ostatnim. Dobra duchowne w obrębie gub. mińskiej zajmowały przestrzeń blisko 600,000 morgów, z czego większość stanowiły dobra *ex-jezuickie*. Liczyły wtenczas dobra duchowne prawie 16.000 głów poddanych płci męskiej.

Z liczby istniejących jeszcze wówczas klasztorów w dyecezyi mińskiej najbardziej się zasłużyły niosąc chorym i niezdolnym do pracy ulgę, pomoc i przytułek, tudzież szerząc oświatę, klasztory następujące: bernardyni w Mińsku lit. z prawem nowicyatu, bernardyni w Nieświeżu bez prawa nowicyatu, czyli do czasu wymarcia zakonników, benedyktyni w Horodyszczu w pow. pińskim, benedyktyni w Mińsku lit., cystersi i cysterki w Kimbarowie, dominikanki w Nowogródku, benedyktyni w Nieświeżu, dominikanie w Mińsku lit. Większości tych klasztorów prawo nowicyatu w połowie wieku XIX już nie przysługiwało, i zakonnicy byli skazani na wymarcie; przyczem gdy ich liczba zmniejszała się do kilku, klasztor całkiem zamykano, pozostałych zaś jeszcze przy życiu księży zakonnych przenoszono do innego jakiegokolwiek klasztoru. To też w pierwszej połowie siódmego dziesięciolecia, w czasach popowstańczych, poprzedzających zamknięcie pozostałych klasztorów, widzimy w tych, które jeszcze ocalały, zakonników z różnych klasztorów i różnych reguł, skupionych w paru klasztorach, których nie zdołano jeszcze zamknąć, i skazanych tam na wymarcie.



Najdłużej, gdyż do roku 1883-go, istniał w ziemi Mińskiej klasztor cysterek w Kimbarówce.

Kimbarówka, *vel* Ciemna Dolina (*Vallis Umbrosa*) leży w pow. mozyrskim, nad Prypecią. Klasztor cystersów ufundował Zygmunt

Szukszta, podczasy kijowski około r. 1711, August II i August III klasztor bogato uposażyli. W r. 1744 założył on w Kimbarówce klasztor żeński — cysterek, tudzież kościół św. Michała. Ten właściwie klasztor, cysterek, przetrwał do r. 1883.

C. D. N.



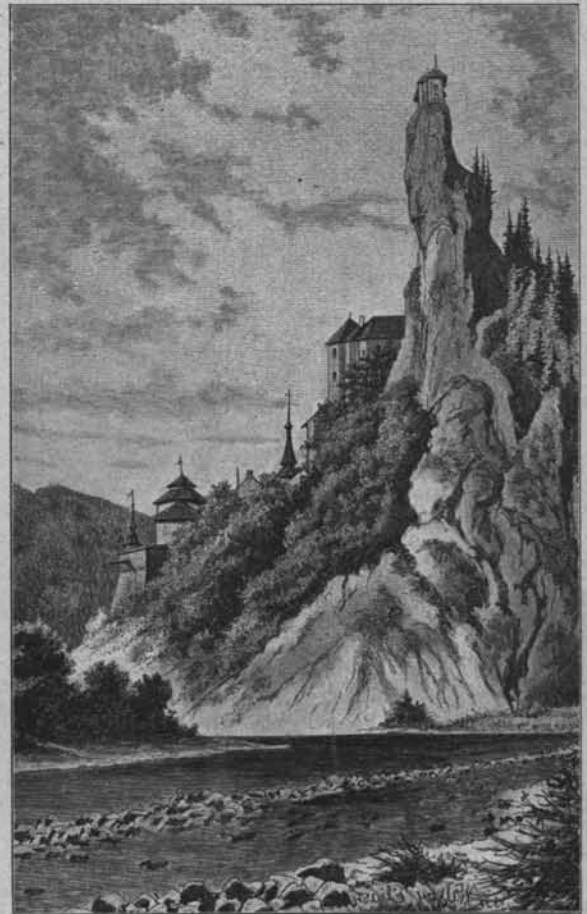
C. R.

Z Krakowa do Budapesztu.

9)

Od Podzamcza Orawskiego z doskonale zachowanym zamkiem Thurzonów, górną częścią zawieszonym na wązkim, prostopadłym, a nawet nieco naprzód wysuniętym urwisku, na istnej iglicy, tak nie do wiary zbudowanym, że dziw, jak się tam trzyma — od miejsca tego idę znów pieszo, z lekka w górę wznoszącą się drogą, przeciągniętą wraz z torem kolejowym brzegiem Orawki. Po miasteczku Trzcianę włącznie mówią po słowacku, lecz narzeczem, zbliżonem do polszczyzny, atoli nie w takiej mierze, jak szaryska gwara. Po drodze z Twardoszyna do Trzciany rozmawiałem z góralem z Witanowa, wsi leżącej na prawo od mego szlaku, nad samą granicą, w tej okolicy, gdzie wkracza na Orawę kolej od Nowego Targu. Dowiedziałem się od niego, że mówią tam z sobą po słowacku, jednak wszyscy starsi umieją również po polsku, bo jeżdżą do Galicyi na jarmarki, odpusty, po towary. Zauważyłem, gdy rozmawiał ze spotkanym drugim witanowianinem, że mówili nawet nie taką słowaczną, jaka panuje w Trzcianie i Twardoszynie, lecz gwarą jeszcze bliższą polszczyźnie. A podobno kilkadziesiąt lat temu mówili w Witanowie po polsku.

Wszelako, cokolwiek stwierdzimy o gwarze tej lub owej wsi, jakkolwiek ostatecznie rozstrzygną tę sprawę badacze języka, rzeczą niewzruszoną zostanie jaskrawo uderzające zjawisko, że przeważna część ludności w Tatrach



rys. Walery Etjan.

ZAMEK ORAWSKI OD WSCHODU.



i Bieszczadach, rozsiadłej po obu stronach granicy politycznej — tam szerzej, tu wężiej — należy do dwóch zasadniczych typów rodowych. Dowodzi to wspólnego ich pochodzenia. Mianowicie wyodrębniam dwa następujące wybitne typy góralskie. Jeden — bodaj na wschodzie przeważający — o twarzy wybitnie podługowatej, nie wygiętej ku przodowi, z prostym, wysokim czołem, z długą, rozwiniętą dolną szczęką, z nosem orliin, długim, wązkim, zaostrozonym, z lekka garbatym, z cienkimi, zazwyczaj ostro zarysowanymi wargami, o cerze białej, o włosach płowych lub złotawych jasnych, z błękitnymi, namiętymi oczyma, dość głęboko osadzonymi. Ów ostry nos, głęboko osadzone by-



ALEKSANDER MATONOG. *fol. E. Sturcula.*

stre oczy wraz z ostrością i wyrazistością innych rysów nadają niektórym twarzom tego typu wyraz sępi, drapieżny. Wybornym jego okazem jest jeden z dwóch chłopów z Jabłonki, stojących na ganku, mianowicie ten wyższy. Do tegoż typu gotów jestem zaliczyć Józka Stafirę, chłopą z Piekielnika, okaz wyszlachetniały, nieco odbiegający od opisanych znamion zasadniczych. Do tegoż typu, zdaje się, należał także Sabała. Kobięcym jego okazem może jest jedna z dwóch dziewczyn z Piekielnika — ta o drobniejszych rysach. Drugi typ stanowi w pewnej mierze przeciwieństwo tamtejszego; o szczękach nieco wysuniętych, z wargami jakby przylegającymi do szczęk, z wysoce znamiennej przydługą górną wargą, z nosem prostym, krótkim, z brodą również giętą ku górze, choć szczęka dolna nie długa, nie wysunięta; o cerze mniej lub więcej smagławej, ciemnych włosach i ciemniejszych, niż tamten oczach. Wybitnym przedstawicielem tego typu jest chłop z Podwilka, wspierający się na ciupadze z fajką w drugiej ręce. A mniej czystym — pan Aleksander Matonog, jeden z inteligentów orawskich; ponie-



JÓZEF STAFIRA, CHŁOP Z PIEKIELNIKA.

fol. E. Sturcula.

kład — także pan Ignacy Gajniak. Wspólnymi znamionami obydwu typów są proste, wyniosłe czoła i wydatność rysów twarzy, a szczególnie krych, idących od zagieć nosa ku brodzie. Nadto obadwa wyróżniają się od Polaków nizinnych wysmukłością i wyższym wzrostem. Śpiż, rzecz prosta, nie jest tak czysty rodowo, jak Orawa.



IGNACY GAJNIAK Z JABŁONKI. *fol. E. Sturcula.*

Strój, zarówno na Górnej Orawie, jak na północy Śpiża — góralski, podobny do podhalańskiego. Na Orawie wieś od wsi odróżnia się pewnymi szczegółami stroju. Na przykład — oznaką stroju męskiego w Jabłoncy są dwa rzędy białych guzików na odrębnego kroju kamizelce. I na Śpiżu i na Orawie już w wielu wsiach zarzucają ten swójski strój. Na Śpiżu bodaj bardziej. Lecz z drugiej strony, widziałem tam wystrojonych po góralsku uboższych Niemców. Na Orawie gołą zarost, co uwydatnia znamiennej górną wargę owego drugiego typu. Na Śpiżu częściej



fol. E. Stercula.

CHLOPI Z JABLONKI.

zachowują wąsy. Twardoszyn i Trzciana — to miasteczka - wsie, zamieszkałe przeważnie przez rolników. Na Orawie, jak wogóle na zachodzie Górnych Węgier — więcej słowackich napisów i szyldów, niż na Śpiżu i w Szaryszu; więcej też szkół początkowych kościelnych i gminnych z językiem wykładowym słowackim.

Następna za Trzcianą, prostopadłym do gościńca rzędem chat wyciągnięta, wieś, Chyżne, jest już mową — polską. Zapytuję jednego z mieszkańców, czy Polak. „O!“ odrzeczę stanowczo „my tu Słowiaci, bo my już w tę stronę patrzymy“. Powiadam mu, że mówi po polsku. On na to chwyci: „My mówimy po polsku, ale nie tak czysto po polsku — po naszymu“. „W Trzcienie, w Twardoszynie już je słowieńska rzecz“ dodał. Ciekawe, że spotkany przeze mnie przedtem góral z Krasnej Górki, umiejący po polsku, jako furmaniący w Galicyi, oznajmił mi wręcz, że już w Chyżnem mówią po polsku. Są to świadectwa wyraźniejszego

rozgraniczenia gwar na Orawie, gdzie snadniej przeciągnąć niewątpliwą granicę językową, gdy na Śpiżu od jednej do drugiej gwary prowadzi cała skala odcieni. Oto próbki gwary w Chyżnem: „Dużom w to piénindy wtrzepeł, a nic nie pomogło“; „Cłowiece! Sikora kupił za ctéry papiérki—nie więkse, jako pięść“. Mówią tu „u-im“ „ośm“, „Worowka“ czy „Uorowka“ nie „Orawka“, „modlitba“ zamiast „modlitwa“, „hore“ zamiast „w górę“, „dołu“ zamiast „na dół“, „treba“ obok „trzeba“, to używają „rz“, to czyste „r“, co zresztą istnieje już w okolicy Zakopanego. Cokolwiekby, mówią tu, jako we wsi językowo na skraju leżącej, polszczyzną bardziej nadpsuta, niż we wsiach bliższych granicy. Książek do nabożeństwa używają słowackich, gdyż z polskich trudno im czytać, bo, jak mi tłumaczyli, „w polskim trzeba na dole dodawać, a u nas w słowieńskim nie“. Objśniat mię jeden z nich, że w szkołkach uczą po słowacku, „bo to statne, a naszum mowe chcieliby skasować“. Takie oto mają pojęcie o stanowisku słowaczyny w państwie. Jeżeli kto czytuje, to słowackie pisma, które nazywają ze słowacka „nowinkami“; lecz wogóle mało czytują. Są ubodzy; ziemię mają nieurodzajną, klimat ostry, tak że najkorzystniej oplaca im się owies, którym karmią świnię. Hodowla świń jest głównem źródłem utrzymania. Zdaje mi się, że Chyżnemu silniej, niż innym wsiom orawskim, poznanym przeze mnie, grozi zesłowaczenie, i że uboższa



fol. E. Stercula.

CHLOP Z PODWILKA.

ona od innych. Inteligentów mało stąd wychodzi. Do niedawna był z całej wsi jeden chłopiec w gimnazjum w Trzcianie, ale umarł. Do Galicyi chadzają na odpusty i jarmarki. Do Krakowa jeżdżą do szpitala, gdy im kto ciężiej zachoruje.

Następna za Chyżnem — Jablonka, wielka wieś, stanowi jakby stolicę polskiej Orawy. W 1900 roku miała 3243 mieszkańców, a w 1910 — 2705, a więc zmniejszyła się blisko o 17%. Dzieli się na dwie główne części: „na dole“ i „na górze“. Oprócz

tego otoczona jest przysiółkami, które odzna-



DZIEWCZYNY Z PIEKIELNIKA.

fol. I. Gajdak.

czają osobnemi nazwami, najczęściej pochodzącymi od dawnych właścicieli. Żyje dotąd w jabłończanach pamięć, że wieś ich powstała z osadników, przybyłych z niedalekiego Śląskiego Jabłonkowa.

Między Jabłonką, a nadgranicznym Podwilkiem leży Orawka. Jak wszędzie zwracam się do spotkanej góralki z zapytaniem: „Cóż wy — Polacy, Słowacy?” — „Ani Polacy, ani Słowacy. W kościele po słowiacku śpiewamy, a w domu to tak... — po polsku” odrzekła nakoniec z niepewnością w głosie. W kościele śpiewamy po polsku, jak ksiądz wyjdzie” dodała. Dalej we wsi na takie samo zapytanie usłyszałem nareszcie od pewnego starego górala — pierwszy i jedyny raz na Górnych Węgrzech od tybylca mówiącego po polsku — „no Polacy”. Lecz w Podwilku znów: „ani Polacy, ani Słowacy”, a wreszcie, na żądanie twierdzącego określenia — „Orawiacy”. Tłumaczyli mi, że mówią „wartko”, a Polacy przeciągają. Tu też wymawiają „uom”, „Worowka”. W Orawce i w Podwilku mówią czyściej po polsku, niż w Chyżnem. Naprzykład, używają obok słowackiej „zeleżnicy” — „pociąg”. Nadto posługują się wybitnie polskimi wyrazami, wreszcie Polski nieznanymi, jak „tędzi” nie „tędy”, „parzątk” nie „szczypior”, „skrzydlice” obok „gonty”, „rządek” nie „wiersz”;

wiejskiego urzędnika administracyjnego, po słowacku „notara” zwa „okolnym”. Dwoją też nie z niemiecka i słowacka w trzeciej osobie, jak na Śpiżu, lecz po polsku — w drugiej. Oto, jako próbka gwary orawskiej, urywek listu p. Eugeniusza Stercuły, aptekarza w Jablonce, pisany do mnie umyślnie w prostej gwarze z dokładnym oznaczeniem dźwięków: „Puosłuołek Panuowi dwie fuotuografije, a Pon sie teraz duopytuje uody mnie, ze jakuo tyk hluopów wuołajo. Tyn hluop sie pise: Stafira Józek a tyn paruobek: Wesołowski Ignac. — Bardzuo sie radujem, ze sie te uobrozki tak zwidziały Panuowi. No tuo sie uod tyk cos bedem usiłuowol takie tutejse „tity” fuotuografuowac, rodbyk z kazdej dziedziny pore hluopów zfuotuografuowac. Prawie dziś sie mi trefiétuo jedne dziewkê z Piekielnika zfuotuografuowac. Ciekawo rzec jes, ze ta dziewczka mo takie nazwiskuo, jakuo i Pon: R... Ceciliom sie pise. — Charakterystyczne puolskie uodziénie tu u nos juz jacy w Piekielniku i w Bukuowinie-Puošku nuoso ludzie, puo insyk dziedzinak juz inacj sie nuoso — ale puoniektuoro dziedzina jescie mo swój charakter, tak ze do sie puoznac puo uodziéwie hluopa ze zkond je un. Babe juz nie tak liekuo puoznac. — Przetuo pisem teraz Panuowi tak puo nasymu, zeby, Pon móg puoznac duoskónale naso gware, nas jynzyk. Při tym juz bardzuo uwazujem, zebyk sykúo tak wypisól jakuo sie tuo tu gwarzi, jakuo tuo ludzie wupuowiadajo. Muoze hyba bedzie, ze tuo Pon nie wyruozumie. Niek mi Pon uodpise, ze có nie ruozumie. Jo bardzuo wdziénie uodpism Panuowi a wyświetlem huojc. Ta rzec bardzuo interesuje i mnie samego i bardzuo sie bedem ciesól jak Panuowi z tym usłuzem. — Litere „uo” niek Pon cyto za jedne samuogłuoske; takiej samuogłuoski nie puoznom w zodnej insej gwarze, ba jacy w nasej. ...Za jedne samuogłuoske sie tuo widzi a przecie duos wyrażnie stysec w niej i „u” i „o”. — Duos cynstuo stysec w nasj gwarze i samuogłuoske é — tuo skuoruo colkiém zuodpuowiadu wyngierskiej samuogłuosce „é”. Kasik jek i cytoł uo tym, ze ta litera pryndzy była i w puolskiej gwarze, nie wiem cy je i tam tak wupuowiadali”. Jak widzimy, przydechowego „u” używają częściej, niż lud w innych ziemach Polski. „Prawie” używają w dawnym znaczeniu: „właśnie”, „w sam raz”, co w Krakowie nierzadko się spotyka, wśród niższych warstw. „Jacy” znaczy „ino”. „Huojc” — „cokolwiek” „coś nie coś”. Trafnie, mojem zdaniem, przypuszcza p. Stercuła, że to poszło od „choć co”. W Krakowskim w tem samem



znaczeniu używają „cojco“. „Hyba“ używają w pewnych zwrotach z czeska po słowacku jako rzeczownika, oznaczającego niedostatek, przeszkodę, to, skutkiem czego jakiś zamiar niedopina celu, chybia. Gwara ta, będąca odmianą polskiej gwary góralskiej, zarówno w zasobie wyrazów i zwrotów, jak w odmianie, jak nawet w tworzeniu wyrazów, zachowała sporo przestarzałości językowych, jakie spotykamy w języku XVI wieku, jakie zresztą trafiają się po części w żywych gwarach innych ziem. Mile uderza też miejscami zwięzłością i dobitnością dawnej polszczyzny. Ale z drugiej strony skaziły ją naleciałości nie tylko z czeska, słowackie, lecz i niemieckie. Ważne byłoby

wykryć i wykazać, jaką szły drogą. Używają niemczyzny na nazwy wszystkich urzędów i urzędników, oprócz owego okólnego. Następnie zasłyszałem użyte: „preskurant“ zamiast „cennik“; „para“ zamiast „probostwo“, „plebania“; „statny“ zamiast „rządowy“, „urzędowy“, „państwowy“; „interesantny“ zamiast „zajmujący“, „interesujący“; „kopiro-wać“ zamiast „odbijać“, „odpisywać“, „kopio-wać“. W zwrotach „dzieć się za Poloka“, „dzieć kozanie“, „dzieć przykazanie Boskie, „znam gwarzyć po słowiacku“, „macierzyńska mowa“ znac również wpływ języka niemieckiego. „Majówkę“ zwa znów z węgierska „majales“.

C. D. N.



Włodzimierz Wakar.

DWIE TEORYE.

2)
(dok.)

Ale — powiada Nałkowski — Niemcy to kraj zachodnio-europejski, Polska zaś wprawdzie nie — wschodni, lecz i — nie zachodni.

W Polsce „powtarza się, niby *Leitmotiv*, jedna cecha główna: „przejściowość“ (z Europy Zachodniej do Wschodniej). „Cecha ta stanowi indywidualność geograficzną Polski, może służyć za definicję kraju“.

„Kraj nasz przedstawia mieszaninę form zachodnio i wschodnio-europejskich, — spotykają się one tutaj, niby wędrowcy w bramie, dążący w strony przeciwne“.

„Tutaj znajdują one swoje granice zachodnie lub wschodnie, spotykają się ze sobą, zębiają, ścierają, kombinują w różny sposób“.

A więc: geometrycznie Polska zajmuje środek Europy; bardziej jest kontynentalna od Europy Zachodniej, mniej od Wschodniej, klimatycznie i sytuacyjnie. Przechodzi w niej granica buku i stepów, szarańczy i susłów, łososia i niektórych ślima-

ków. Przejściowe zaś warunki przyrodnicze wywołują pewne objawy przejściowości kulturalnej (granica wyznaniowa) i komunikacyjnej (pobojowiska narodów, misja kulturalna Polski na wschodzie).

Nałkowski cenil swoją teorię bardzo wysoko. Tkwi w niej jednak coś niedopowiedzianego. Znać w definicji niepewność, sięgającą pesymizmu. Widać, że autor uczynić chciałby z Polski wielki słup graniczny dwu kultur, a przytoczyć na potwierdzenie tego może tylko dowody niezbyt przekonujące i dane zbyt drobniagowe. Susły i łagodne przejście klimatyczne, właściwe wogóle Europie, wydają się mimowoli zbyt blahemi, ażeby kraj definiować. Przejściowość, podnoszona na stopień charakterystyki kraju, donioślejsze mieć dlań powinna znaczenie i jaskrawy wyraz, niż wskazane przez autora.

Nałkowski odczuwa to, gromadzi skrętnie coraz drobniagowsze argumenty na rzecz przej-



ściowości, — aż wreszcie zmuszonym się czuje przyznać, że kulturalnie Polska jest krajem zachodnio-europejskim (str. 15). Dodajemy, że kultura zachodnia szła i do Rosji nie z Polski głównie, lecz ponad Polską albo przez Bałtyk. Nałkowski żywi nadzieję, że Polska będzie misjonarką Europy na wschodzie, a więc wtedy dopiero zostanie jednostką geograficzną. Ale czy będzie? Wobec rozwoju komunikacji pośrednictwo kulturalne coraz mniej jest potrzebne, zostało zresztą oddawna zmonopolizowane przez Francję...

Wnioskiem więc z teorii przejściowości jest orzeczenie, że Polska może być indywidualnością geograficzną.

Czyż o definicyi kraju może stanowić sama przejściowość przyrodnicza, skoro o tyle jest mało wydatna, że nie odzwierciedla się w kulturze kraju? czyż nie świadczy o tem, że Polska niema granic południkowych i nie zawiera spadków gwałtownych ku zachodowi ani wschodowi? Wskazanie takiej przejściowości kraju, jako jego oblicza indywidualnego, jest paradoksem, bo z jednej strony, oznacza brak oryginalności, z drugiej — właściwa jest wszystkim krajom świata w tej lub innej mierze. Naprzykład, międzyrzecze Oki i Wołgi jest przejściowe pomiędzy północą a południem Europy wschodniej, Niemcy — pomiędzy zachodem a wschodem — zachodniej i t. d.

Wreszcie linia przyszłego rozwoju Polski, wytykana przez teorię przejściowości, nie zgadza się bodaj z kierunkiem istotnym historyi. Polska z czasem raczej uwalnia się od mieszaniny form zachodnio a wschodnio-europejskich, niż ją pomnaża. Wypadałoby, że staje się krajem coraz mniej indywidualnym i że naszym zadaniem społecznym jest powstrzymać zanik ginących bagien, wilków, stepów, analfabetyzmu i innych cech wschodnio-europejskich, ażeby wraz z nimi nie zginęła nasza samoistość geograficzna, jak znikła polityczna¹⁾.

A i jej utratę Nałkowski tłumaczy przejściowością Polski, brakiem w niej granic naturalnych z zachodu i wschodu. Tem bardziej pesymistyczna jest zatem jego teoria, skoro, po-

dług niej — sama przyroda wroga była istnieniu politycznemu Polski.

*

Najpoważniej przeciwstawił się poglądom Nałkowskiego profesor wszechnicy Lwowskiej Eugeniusz Romer. Usiłuje więc dowieść ich bezpodstawności, za słabo bowiem, podług niego, odgraniczana jest Polska od Wschodu. Gromadzi tedy argumenty na dowód tego, że i przejściowość przyrodnicza Polski jest przez Nałkowskiego przeceniona: śledzi granice klimatyczne i roztopy rzeczne, opiekuje się szarańczą i bukiem. Nie neguje zresztą całkowicie przejściowości, lecz uznaje ją za mało wydatną i charakterystyczną, cechy zaś Zachodu w Polsce — za bezwzględnie przeważające.

Polska jest więc, według Romera, nie „krajem przejściowym“, lecz „jednym z filarów Europy zachodniej“.

Wnioski Romera, z punktu widzenia Nałkowskiego, pozbawiają kraj polski, jako jednostkę geograficzną, jego głównego rysu charakterystycznego. Romer też nie tylko usiłował obalić hipotezę Nałkowskiego, lecz podał własną i szerzył ją po polsku i po francusku, ustnie i piśmiennie, odnajdując ten rys w tem, że ziemie polskie stanowią międzymorze, pomost lub przełęcz pomiędzy Bałtykiem a morzem Czarnym, analogiczną do bramy prowansalskiej, burgundzkiej lub morawskiej na zachodzie i od nich nie o wiele dłuższą.

Ta część pozytywna teorii Romera wydaje się słabszą i mniej uzasadnioną, niż negatywna, zwalczająca teorię przejściowości. Chciałbym powiedzieć, że nie tylko powtarza zbijane błędy Nałkowskiego, lecz od jego teorii niczem się nie różni.

Przejściowość przyrodnicza z północy na południe nie w wielkim da się zauważyć w Polsce stopniu wobec muru karpackiego. Pod względem zaś kulturalnym niema teraz północy ani południa: Szwecya i Dania są zachodem, Gruzya i Turcya — wschodem. Torya międzymorza jest więc tą samą teorię przejściowości — na co już wskazał Nałkowski (str. 29).

Przytem na owych „pomostach“ osiadają zwykle dwa narody i dwa tworzą kraje: między morzem Śródziemnym a Niemieckim — Francuzi i Holendrzy, na międzymorzu Adryatycko-Bałtyckim — Niemcy i Włosi lub Słowenicy, u nas Polacy i Rusini, między zatoką Perską a morzem Śródziemnym — Mezopotamia i Syrya i t. d. Romer uważa, że systemem rzeczonym Dniestru i Dniepru Ruś złączoną jest z Polską

¹⁾ Teoria przejściowości zbyt stanowczo przeciwstawia zachód wschodowi, co o tyle nie jest słuszne, że wschód coraz bardziej przyswaja formy życia europejskie. Z drugiej strony, Nałkowski nieraz uważa w Polsce za wschodnie takie rysy, które świadczą tylko o jej mniejszym rozwoju i wspólne są nam z narodami romańskimi.



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.

w wyższym stopniu, niż spojona wewnątrz siebie wobec poszczerbionej jarami wyżyny Podola. Tu też, za dorzeczem Dniepru, przechodzi, wedle niego, względnie naturalna, wobec braku kanałów (cecha bardzo nietrwała), granica ziem polskich.

Lecz Ruś niewątpliwie zawiera liczne cechy wschodnie. Polska i Ruś — to dla geografii dwa kraje: jeden o charakterze zachodnio-europejskim, morski, wilgotny, lesisty, z bukiem — drugi o charakterze wschodnio - europejskim,

łądowy, suchy, stepowy, z szarańczą. Łączenie jego z Polską w jedną indywidualność geograficzną sprowadza więc — przejściowość Polski. Bez Rusi Polska nie byłaby międzymorzem.

Polska jest albo i przejściową i pomostową, albo ani przejściową ani pomostową.

Jakie ten pomost ma znaczenie? jaką odgrywa rolę? Że sandacze swobodnie nim wędrują w zlewiskach obu mórz? Że ongi Normanowie i Grecy prowadzili tędy handel bursztynem? Sam prof. Romer spostrzega, że Polska nie jest drogą z północy na południe. Odwołuje się więc do przyszłości, rokując, że wola ludzka zbuduje pomost pomiędzy morzami Bałtyckim a Czarnym na podłożu sprzyjających warunków przyrodniczych. Ale wnioskiem z tego przypuszczenia, zarówno, jak z teorii Nałkowskiego, byłoby orzeczenie, że Polska, jako jednostka geograficzna, dopiero może istnieć będzie, lecz dotychczas nie istnieje.

Tymczasem zaś mamy tylko jej ewentualne podłoże: zwężenie łądu między morzem Bałtyckim a Czarnym.

Zarówno, jak Nałkowski, Romer wytyka dla Polski wielkie stanowisko geograficzne i potężną rolę dziejową. I jak Nałkowskiego przejściowość, powodująca upadek Polski, tak Romera pomostowość prowadzą do wyników pesymistycznych. Jeżeli dawniej mawiano: bez Polski niema Rusi, to teoria Polski jako między-



fol. ze zb. Pol. Tow. Kr.

„GÓRY PIEPRZOWE” POD SANDOMIERZEM.

Występują tu na jaw najstarsze ze znanych na ziemi polskiej — i wogóle na kuli ziemskiej — utwory osadowe z systemu kambryjskiego.

morza powiada: bez Rusi niema Polski — sama w sobie Polska nie jest zdolna stanowić jednostki geograficznej...

*

Obie teorie mają ze sobą bardzo wiele rysów wspólnych i opierają się właściwie na niewątpliwie słusznych przesłankach. Jedynie nastrojowość pewna, skłaniająca je już to ku marzeniom optymistycznym, już to ku rezygnacyi pesymistycznej stoi im na drodze do doskonałości metodologicznej.

W teorii Nałkowskiego tkwi ta prawda, że na terytorium polskim niema granic naturalnych, i nie da się zauważyć jakichś gwałtownych skoków przyrodniczych przy granicach zachodniej ani wschodniej. Nie wyciągajmy jednak stąd wniosku, iżby Polska miała misję forpoczty kultury zachodniej na wschodzie, lub rolę pogranicza dwu światów. Ani wnośmy, że ta jej przejściowość jest przyczyną wiecznie trwającą jej wszystkich fatalności dziejowych.

I słuszne jest podkreślenie przez Romera tej okoliczności, że Polska jest krajem bardziej zachodnim niż wschodnim lub przejściowym, i że znajduje się na zwężeniu łądu europejskiego. Nie posuwajmy się jednak do twierdzenia, że jest łącznikiem naturalnym między morzami



i krajami zamorskimi, ani osłabiamy jej samoistności przez uzależnienie — od Rusi.

Lecz oświełmy te słuszne przesłanki autorów za pomocą pewnego szczegółu teorii Nałkowskiego, który dotąd umyślnie pomijałem. Ma on w jego konstrukcyi znaczenie jednej ze stron przejściowości, nie występuje dość jaskrawo wśród innych jej stron i symetrii, powinien jednak odegrać rolę dominującą — co już poniekąd stosował w praktyce Sujkowski.

Jest to przejściowość Polski komunikacyjna. Nie dla szarańczy ani sandaczów, nie dla przemarszów wojskowych ani prądów intelektualnych, lecz — dla handlu.

Z tego punktu widzenia rozumiemy, jakie znaczenie nadaje Polsce jej łagodna przejściowość przyrodnicza, brak naturalnych granic południowych i zwężenie ładu europejskiego. Nie są one indywidualnością geograficzną Polski, lecz o niej stanowią, są przesłankami przyrodniczymi jej samoistności geograficznej. Czynią z niej naturalną drogę ze wschodu na zachód i odwrotnie, bramę tranzytową.

Tranzyt zapewnia samoistność i dobrobyt narodów, np. Belgii, Szwajcaryi — a podnosi ich kulturę. Podkreślenie więc takiej roli dla Polski godzi się z kierunkiem jej rozwoju i rokuje krajowi wielkość i bogactwo — zwłaszcza, że zarówno zachód, jak wschód: Rosya, Ruś, Syberya — mają przed sobą widoki pomyślnego postępu gospodarczego.

Romer słusznie orzekł, że Polska leży na zwężeniu ładu, że jest pomostem. Ale nie między morzami, boć pomost między morzami może być tylko wodny (np. cieśnina), jak lądowym jest most między brzegami. Polska jest pomostem między lądami — zarówno na zachód od niej, jak na wschód, ład europejski rozszerza się — i wszystkie drogi, cały dowóz i wywóz wschodnio-zachodni lądowy musi kierować się przez bramę polską. Morza więc są to tego pomostu poręcze.

Zresztą, ażeby zachować swoją rolę geograficzną przesmyku komunikacyjnego, Polska wcale niekoniecznie ma ogarniać Ruś. Wobec muru karpackiego i zamkniętej szczelnie zewsząd kotliny węgierskiej wystarczy, że sięga Bałtyku i Karpat. Pozatem synteza obecna, zarówno jak teorie przejściowości i międzymorza, granic Polski, zgodnie z istotnym stanem rzeczy, nie ustala ani krępuje, lecz tem się od tych teorii korzystnie różni, że nie uniezależnia się, jak przejściowość, od kresów wschodnich lub, jak międzymorze — od Rusi. Jądrem kraju jest obszar ludności polskiej.

Przyjrzyjmy się mu. Ledwie się ima Bał-

tyku, byle się zaczepić. Nie o wiele szerszą jest podstawa jego w Beskidzie i Tatrach. Ale już przez to samo cała brama polska jest w jego ręku, i żadna kolej, żadna droga rzeczna, czy to z południa przez bramę Morawską, czy z zachodu po równinie, wschód dążąc na wschód, na wschód północny, wschód południowy lub odwrotnie — Polski nie ominą.

Od swego ośrodka, gdzie krzyżują się drogi, ludność polska półwyspami rozsypuje się w ich kierunku: w stronę Bałtyku i Tatr, Wartą — w głąb Niemiec, Wisłą — do Moraw, wzdłuż Sanu i Dniestru — w głąb Rusi, za Niemen i Wilię — w kierunku Rosyi.

A pośrodku przepływa Wisła, jako łącznik, jako oś Polski, wiążąca poręcze pomostu — Karpaty i Bałtyk.

Zrozumiemy więc, dlaczego w dorzeczu Wisły powstać i utrzymać się przed zniemczeniem słowian musiał naród odrębny i kraj samoistny, dlaczego Wisła stała się jego spójnią i ogniwem.

Syntezuąc więc teorie Nałkowskiego i Romera, powinniśmy rzec, że Polska w swych granicach czy to etnograficznych czy historycznych jest krajem o przeważających cechach przyrody i kultury zachodnio-europejskiej, który, dzięki brakowi granic naturalnych ze wschodu i z zachodu, łagodnym przejściom przyrodniczym w obu kierunkach, zwężeniu ładu europejskiego i łukowi karpackiemu — zajmuje w geografii stanowisko bramy tranzytowej pomiędzy zachodem a wschodem Eurazji.

*

Pomostowość międzymorska Romera odwołuje się do niepewnej przyszłości. Przejściowość Nałkowskiego jest wrogiem przyrodzonym samoistności politycznej Polski i upadek jej istnienia państwowego tłumaczy o tyle, że już to trudno nawet wogóle zrozumieć, skąd wziąć się i jak powstać mogło. Tranzyt wiąże się z bogactwem i potęgą Polski w historii, a zapewnia jej przyszłość pomyślną.

Na zaraniu dziejów państwo Polskie powstaje na drogach handlu tranzytowego przez bramę Morawską nad połączeniem wód Wisły i Warty (dawne wielkie Gopło). Z rozwojem handlu wschodniego odsuwa się ośrodek państwa od bramy Morawskiej i Krakowa ku Mazowszu, a Polska kolonizuje Litwę. Wojny religijne opustoszą zachód, tranzyt znika, miasta



polskie upadają, rozwielenia się egoizm szlachecki, Moskwa, odcięta w ten sposób od Zachodu, zamyka się w sobie, potem szuka innych doń dróg, wreszcie korzysta z osłabienia Polski. Główną troską działaczy patryotycznych czasu rozbiorów było przeto podniesienie miast, równouprawnienie Żydów, czyli ludności miejskiej, wznowienie tranzytu (np. działalność Czackiego). Za kongresówki również główna uwaga zwrócona jest na drogi i ich stan. Obecnie o kanały galicyjskie zażarta toczy się walka. Tej pracy nad podniesieniem tranzytu ciągle jednak stoją na przeszkodzie warunki polityczne kraju: brak kolei ze względów strategicznych i paszportowych (np. Gdańsk-Lwów), brak samorządu gospodarczego ludności zainteresowanej (wykup kolei Wiedeńskiej), i unieruchomienie Wisły drogą podziału. Zatem nie teren przejściowy, nieobronny, lecz zanik tranzytu przyczyną był klęsk kraju — zwłaszcza, że

obronność terenu zależy nie od gór i mórz, lecz od jego umiejętnego wyzyskania.

Obie teorie — Nałkowskiego i Rome-ra — wkładają na kraj szczytne zadania narodowe pewnej misji kulturalnej na ziemiach obcych. Lecz i zadaniem tranzytu nie tylko jest przewozić do nich cudze towary. Podstawą tranzytu jest sprzyjanie rozwojowi i bogactwu wszystkich krajów, umiejętna gospodarka komunikacyjna i należyte wyzyskanie korzyści jego. Kraj tranzytowy musi ściągać do siebie wędrowców urokiem swej przyrody i kultury. Czego poskąpiła nam natura, uzupełniać winna praca ludzka. A i przemysł krajowy wobec dróg otwartych współzawodniczyć może z obcym tylko artyzmem wykończenia i subtelnością stylu. Obowiązkiem naszym jest więc misja kulturalna nie w ziemiach obcych, lecz u siebie w domu.

Istotą kraju jest tranzyt, zadaniem narodu — piękno.



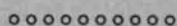
Ze stowarzyszeń.

Dnia 27 maja odbyło się przy b. licznym udziale młodzieży akademickiej zawiązujące zebranie Sekcji krajoznawczo-turystycznej w Krakowie. Zebranie poprzedził odczyt p. Januarego Kołodziejczyka: „O krajoznawstwie“, w którym, prelegent przy pomocy obrazów świetlnych ze zbiorów Pol. Tow. Krajoznawczego w Warszawie zaznajomił słuchaczy z okazami naszej przyrody, zabytkami przeszłości, rozszaniami na obszarze Polski, poczem dał krótki rys działalności Pol. Tow. Kr. w Warszawie i zachęcał do pracy na tem polu na terenie galicyjskim. Następnie przedyskutowano i uchwalono statut, poczem nastąpił wybór członków Wydziału, w skład którego weszli: pp. J. Kołodziejczyk, sl. filoz., prezes, Tadeusz Prażmowski, sl. praw, wiceprezes, Stanisław Stączek, sl. fil., sekretarz, Józef Łukaszewicz, sl. fil., skarbnik; jako wydziałowi pp. M. Kozłowski, sl. medyc., J. Olesiówna, sl. fil., Leopold Rudke, sl. med., H. Bujwidówna, sl. fil. W skład grona przewodników (wysokogórskich), którzy otrzymali pełnomocnictwo co do prowadzenia wycieczek tatrzańskich, weszli pp. Józef Grabowski, sl. fil., Wacław Majewski, sl. med., Tadeusz Prażmowski, sl. praw, Mieczysław Świecz, sl. fil. Grono przewodników krajoznawczych stanowią pp. Leopold Rudke, Stanisław Stączek, M. Kozłowski, Jan Gadomski.

Działalność wycieczkowa Sekcji w obecnym se-

zonie rozwinęła się znakomicie i zyskała nietylko wśród młodzieży, ale i wśród szerszego ogółu uznanie. Urządzono już kilkanaście wycieczek, bądź pół-, bądź jedno lub dwu dniowych. Z ważniejszych wymieniamy: w Beskidy Śląskie (2-dniowa — okolice Bielska) — w Gorce (okolice Rabki i Mszany dolnej; najdziksze pasmo Beskidów w zachodniej Galicyi, dalej „cykl wycieczek do zamków polskich zachod. Galicyi“). Zwiedzono już Lanckoronę, Barwałd, Tęczyn i Lipowiec — pozostaje na Czerwiec: Wiśnicz, Melsztyn, Czchów i Czorsztyn.

Program wycieczek na czerwiec jest następujący: 7 do Salin Wielickich, 7 i 8 w Gorcc (2 dni), 14 i 15 w Tatry (Giewont, Czerwone Wierchy; 15 — do ruin Wiśnicza, 20, 21 i 22 w Pieniny i w Beskid sądecki; 22 i 23 do Ojcowa i Pieskowej Skąły; 22 do ruin Melsztyna nad Dunajem; 29 i 30 czerwca do Sandomierza; 29 do zamków orawskich. Nadto odbędzie się 4-dniowa wycieczka okrężna w Beskidy zachodnie (od Romanki przez Pilsko, całe pasmo Babiej Góry do Osielca) i 1-dniowa do Źródeł Wisły, których terminy zostaną ogłoszone później. Wszelkich informacji (także listownie) udziela: Akademicki Związek sportowy (Sekcja krajoznawczo-turystyczna) w Krakowie, Uniwersytet.



Nowe książki.

Zmiana własności ziemskiej w guberni Kijowskiej od roku 1861 — 1900. Powiaty: taraszczański, humański, kaniowski, i skwirski. Cena 4 korony (1 rb. 60 kop.). Kraków skład główny w księgarni G. Gebethnera i Spółki 1912 str. 136.

Niepodpisany autor tej książki (pod przedmową znajdujemy jeno kryptonimy A. I.) pracę swą poświęcił swym współzmiernikom, ograniczył się zaś w niej do suchego wykazu właścicieli wszystkich majątków ziemskich w wymienionych powyżej czterech powiatach Ukrainy z pierwszej połowy ubiegłego wieku, z r. 1861 i z r. 1900, zsumowując jedynie cyfry ogólne własności polskiej i własności rosyjskiej w każdej gminie i każdym powiecie, uważał bowiem, jak to zaznaczył w przedmowie, że podane w książce te cyfry są zanadto wymowne, aby potrzebowały komentarzy. Otóż żałować mocno należy, iż autor tej ciekawej pracy do suchych cyfr i nazwisk nie dołączył najwzięźlejszych choćby ze swej strony wyjaśnień. Kurczenie się własności ziemskiej polskiej na całym obszarze Litwy i Rusi, a specjalnie na Ukrainie odbywało się w okresie popowstaniowym w tempie tak szybkim, że doprowadziło do bardzo doniosłych zmian w naszym życiu społeczno-narodowym. Jest już najwyższy czas, aby przystąpić do opracowywania dziejów naszej własności ziemskiej na niezmiernych obszarach Litwy i Rusi. Warstwa ziemiańska, najliczniejsza w tych właśnie prowincjach, nie tylko za czasów istnienia Rzeczypospolitej, ale jeszcze przez cały niemal wiek dziewiętnasty nadawała bezwzględnie ton zarówno naszym idealom politycznym, jak literaturze, sztuce i całemu niemal naszemu życiu publicznemu. Podcięcie przewagi, a nawet niemal bytu tej właśnie warstwy pociągnęło za sobą głębokie przeobrażenia w naszej psychice narodowej. Szlachta polska w przeważnej części wyzuta została ze swych siedzib. Na Ukrainie obszar posiadanej przez nią ziemi skurczył się do rozmiarów trzeciej zaledwie części ogólnego obszaru większej własności ziemskiej. Gdyby ten proces wywłaszcze-

nia trwać miał dalej w tempie dotychczasowym, po upływie jeszcze jednej ćwierci wieku z trudnością trzeba by szukać na Ukrainie śladów imienia polskiego. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale, jak widać choćby z książki, której tytuł przytoczyliśmy w nagłówku, w ciągu ostatniego półwiecza zaszedł w życiu polskiem na stepach Ukrainy przełom bardzo głęboki: podstawa bytu, ziemia, w znacznej części wysunęła się już nam z pod nóg. Jak wiadomo skądinąd, rodziny, wyzute z ziemi, przeważnie rozpraszają się zaraz po szerokim świecie, zatracając szybko wszelką łączność z tradycjami swojej dawnej okolicy. I dziś już są na Ukrainie powiaty, gdzie z trudnością dopytać się można o dawnych ludzi, co nadawali niegdyś ton i charakter życiu swojej prowincyi. Za lat kilkanaście będzie to już może niemożliwe. Należałoby zatem koniecznie, póki czas, a czas już ostatni, pomyśleć o utrwaleniu w słowie pisanem i drukowanym tych zacierających się polskich tradycyi i wspomnień kresowych.

Z książki omawianej przytoczymy jeno kilka liczb ogólnych. W powiecie taraszczańskim w r. 1861 własność polska wynosiła 155.983 dziesięcin, w r. 1900 już tylko 83.294. W powiecie humańskim w tym samym czasie własność polska ze 111.953 dzies. zmniejszyła się do 77.750 dz., w pow. kaniowskim z 81.452 dz. do 52.576 dz., i w pow. skwirskim ze 144.602 dz. do 91.887 dz. Dodać należy, że nie są to bynajmniej powiaty najgorzej pod tym względem sytuowane. Daleko większe zmiany na naszą niekorzyść zaszły w takim np. pow. kijowskim, radomyskim lub czehryńskim.

Książka p. A. I. jest wogóle skromnym, ale tem niemniej wartościowym przyczynkiem do nienapisanych jeszcze niestety dziejów ziemi na kresach ukraińskich. Nazwy miejscowości podane zostały wszędzie w brzmieniu właściwym, informacye, o ile zdołaliśmy sprawdzić, są zupełne ściśle. Obok wdzięczności dla autora za to, co nam dał, budzi się jednak żal, że dał nam — tylko tyle.

Edward Maliszewski.

oooooooooooo

TREŚĆ: *Aleksander Majkowski* — Szkice z życia Kaszubów w pow. kartuskim (dok.). *Aleksander Lętowski* — Dyecezya Mińska (c. d.). *C. R.* — Z Krakowa do Budapesztu (c. d.) (z 8 ryc.). *Włodzimierz Warkar* — Dwie teorye (dok.). — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Poza tekstem: Chata w osadzie Glińiance, pow. miński (Mazowsze) „Góry pieprzowe” pod Sandomierzem.

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryk A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.